

MARGINESY

NA PROSTEJ I ZAKRĘTACH

Zdegustowana

Kasię wychowywała samotna matka, która porzucona przez męża, nie za bardzo dawała sobie ze wszystkim radę. Mimo że bardzo się starała, efekty często były mizerne. Kobieta pracowała jako kasjerka, wieczorami dorabiała sprzątnięciem biur. Sama nie miała czasu zajmować się ani swoim wyglądem, ani wykształceniem, nie mówiąc o pilnowaniu małej Kasi. Gdy dziewczynka dorastała, pomiędzy nią a jej matką zaczęły mnożyć się konflikty, których żadna nie potrafiła załagodzić. Skończyło się to tym, że dziewczyna postanowiła wybrać szkołę średnią oddaloną o kilkadziesiąt kilometrów od domu i zamieszkać w bursie.

Gdy Kasia poszła na studia, jej kontakt z matką praktycznie zupełnie się urwał, a ona sama w ogóle nie odczuwała potrzeby sztucznego podtrzymywania go. Mimo że miała już 23 lata, nigdy nie miała chłopaka. Nie żeby nie chciała – po prostu nawet najmniej atrakcyjni koledzy nie byli za bardzo nią zainteresowani. Kasia nigdy nie błyszczała w towarzystwie, nigdy nie umiała ładnie odpowiedzieć, często zdarzało jej się palnąć jakąś gafę. Na studiach zaczęła o sobie bardziej dbać. Chodziła na aerobik, oglądała internetowe filmiki o tym, jak się malować, nawet poddała się „metamorfozie” organizowanej przez jedno z kolorowych pism. Niestety efekty częściej były śmieszne i przerysowane niż ładne...

Dwa czy trzy razy poszła na randkę – za każdym razem zaaranżowaną przez współlokatorki z akademika. Jeden z chłopaków był kuzynem jej koleżanki w syntetycznym garniturku, najpewniej jeszcze z komunii, czerwonej koszuli i pod krawatem wciśniętym w spodnie. Kasi zrobiło się słabo już wtedy, kiedy go zobaczyła, a drugi raz, gdy podał jej rękę z długimi pazurami. Jak łatwo się domyślić, była to randka błyskawiczna, z której Kasia czmychnęła przy pierwszej nadarzającej się okazji.

Przez długi czas Kasia obiecywała sobie, że nigdy, przenigdy ponownie nie da się namówić na podobny eksperyment. Głupio jej jednak było iść na bal pod koniec studiów samej i uległa innej znajomej, która chciała ją wyswatać ze swoim kolegą. Ku zdziwieniu Kasi w tym przypadku nie było tragedii – chłopak był w miarę rozgarnięty, miał dobrą pracę, potrafił się wysłowić i wyglądał całkiem OK. Na dodatek przegadali cały wieczór i spotkali się ponownie nazajutrz. Takie spotkania powtarzały się przez najbliższe tygodnie i mimo że dziewczyna nie czuła się jakoś niesamowicie zauroczona Grzeskiem, to jednak myślała, że może dzięki niemu nie jest traktowana przez znajomych jak nie wiadomo jaki dziwoląg, który wiecznie jest sam. Prawdziwy i całkiem przez nią niespodziewany przełom nastąpił, kiedy musiała wyprzewodzić się z akademika. Dorabiała wtedy drobnymi zajęciami i udzielaniem korepetycji, nie miała zbyt dużo pieniędzy i znalezienie nawet skromnej kawalerki wydawało się praktycznie niemożliwe. Wtedy też Grzesiek, z którym byli parą od dwóch miesięcy, wyskoczył z pierścieniem zaręczynowym. Kasia nie była pewna tamtej decyzji, ale po krótkim zastanowieniu i namowach koleżanek zgodziła się. Nie znali się nawet pół roku, kiedy odbył się skromny, niewielki ślub.

Kasia wprowadziła się do mieszkania Grzeska i już pierwszego dnia małżeństwa przekonała się, że prawdopodobnie popełniła błąd. Nie wiedziała, jak do tej pory mogła nie zauważyć różnego typu „zwycajął” chłopaka. Nie minęło kilka tygodni, a ją denerwowało dosłownie wszystko – od maniackalnego dłubania w nosie, niechęci do mycia naczyń, głośnego puszczenia bąków po śpiewaniu piosenek na całe gardło w trakcie kąpieli. Szybko okazało się też, że Grzesiek może i jest rozgarnięty w sprawach, które dotyczyły jego kariery, ale większość decyzji jest inspirowana przez jego matkę. Musiała ona wyrazić swoje zdanie we wszystkim – począwszy od zakupu nowych ręczników i koloru ścian w sypialni, skończywszy na odpowiednim fasonie sukienki dla Kasi.

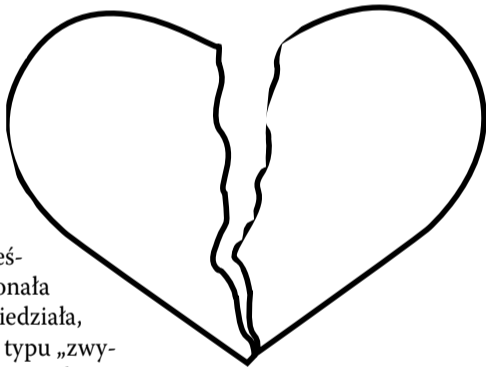
Po dwóch miesiącach małżeństwa Kasia miała dosyć. Coraz częściej uciekała z domu do koleżanek, u których nocowała, starała się brać jak najwięcej zleceń, żeby unikać Grzeska. Niedługo potem stwierdziła, że tak się jednak nie da i ten układ trzeba zakończyć. Długo przygotowywała się do rozmowy z mężem. Gdy już dokładnie wiedziała, co chciała mu powiedzieć, przygotowała kolację i poprosiła o dłuższą rozmowę. Grzesiek przyjął wszystkie jej słowa z niesamowitym spokojem, po czym wyszedł z pokoju na kilka minut. Nie minął kwadrans, a w mieszkaniu pojawiła się jego matka. Wyzywała i bluźgała, krzycząc na Kasię, że małżeństwo jest aż po grób.

Kasia bardzo przeżyła tamten wieczór, nie chciała robić Grzeskowi krzywdy, chciała się po prostu rozstać bez wielkich fajerwerków. Kolejne tygodnie pokazały, że jest to całkowicie niemożliwe. Matka Grzeska starała się uprzykrzyć Kaśce życie w każdy możliwy sposób. Niestety, Grzesiek także zaczynał się zachowywać jak wariat. Ze strachu o swoje bezpieczeństwo Kasia coraz częściej pomieszkowała u znajomych – i w trakcie jednego z takich posiedzeń wpadła na pomysł, który miał rozwiązać jej wszystkie problemy.

Wróciła do domu i czekała, aż Grzesiek zaśnie. W nocy podała mu niewielką dawkę insuliny, którą bez problemu zdobyła wcześniej. W dzień była miła i nie wspominała o rozwodzie, w nocy powoli starała się zakończyć swoje małżeństwo, mając nadzieję, że uda jej się zamordować męża w białych rękawiczkach. Po jakimś czasie Grzesiek zaczął się fatalnie czuć – zasłabł, dostał drgawek, z ust puściła mu się piana. Gdy atak się przedłużał, a puls słabł, Kaśka z zimną krwią zadzwoniła po pogotowie, żeby chwilę później udawać przerażoną, zmartwiającą się żonę. Zgodnie z tym, co znalazła w internecie, Grzesiek miał już się nie obudzić, a ona miała być wolna.

Ku jej wielkiemu zdziwieniu – tak się nie stało. Na dodatek matka Grzeska od początku obwiniała ją o stan zdrowia syna i drażyła sprawę tak długo, aż wszystko wyszło na jaw.

Kasią zajął się sąd, a Grzesiek sam wystąpił o błyskawiczne załatwienie rozwodu. Kilka miesięcy później, tuż po ogłoszeniu wyroku, który skazywał Kasię na długie lata więzienia, Grzesiek ożenił się ponownie...



Ach, ta piłka

Oglądałem z kolegami mecz pomiędzy Brazylią i Włochami w ramach Pucharu Konfederacji w TVP2. Wygrali Brazylijczycy 4:2. Sam wynik nie był dla mnie najważniejszy, chociaż na pewno usatysfakcjonował brazylijskich kibiców. Oglądając poczynania zawodników obu zespołów, zacząłem się zastanawiać, czy jeszcze zobaczę grającą na takim poziomie (choćby w połowie) polską reprezentację. Mecz był wyśmienitym widowiskiem – porywającym do ostatniego gwizdka sędziego. Zawodnicy obu zespołów grali na pełnych obrotach, tak jak się gra w najważniejszym meczu w sezonie. Szybkie tempo w przeprowadzaniu akcji, poszukiwanie nowych zagrywek techniczno-taktycznych celem wymanewrowania rywala, odważne i zdecydowane wejścia w ataku, rzetelna gra w obronie – można wymienić jeszcze wiele innych pozytywów w poczynaniach zawodników brazylijskich i włoskich, m.in. i taki, że piłka nie przeszkadzała zawodnikom.

A przecież nie było to spotkanie o jakąś wielką mistrzowską stawkę. Był to mecz w ramach turnieju, który można zaliczyć do towarzysko-szkoleniowych. Grano towarzysko, ale o prestiż. A przecież turniej ten odbywa się niemal zaraz po zakończeniu mozolnych rozgrywek ligowych we wszystkich krajach oraz po oficjalnych konfrontacjach międzynarodowych – klubowych i reprezentacyjnych. Zawodnicy obu drużyn grają na co dzień w różnych klubach, w różnych krajach. Mają więc prawo być zmęczeni ligowymi rozgrywkami. Nic takiego nie można było dostrzec w poczynaniach zawodników brazylijskich i włoskich. Grali z pełnym zaangażowaniem do ostatnich sekund. Nie zwalniali tempa gry. Nie przejmowali się mało udaną akcją, przerwana przez rywali, ale zaraz starali się organizować kolejną akcję z myślą o zdobyciu gola.

Tak grających Polaków chciałoby się oglądać. Myślę, że jest to nie tylko moje marzenie, ale wszystkich kibiców futbolowych, a także wszystkich sympatyków sportu. Są to marzenia, które od wielu, wielu lat nie mogą się urealnić. Nie spełnili tych marzeń poprzedni selekcjonerzy naszej reprezentacji, a trener Franciszek Smuda po Euro 2012 pozostawił rozklekotaną kadrę, w której zawodnicy prezentowali się gorzej w reprezentacji niż w swoich drużynach klubowych – a przecież grają w dobrych zespołach europejskich i stanowią w nich ważne ogniwa. W efekcie nasza reprezentacja straciła praktycznie szanse na wywalczenie awansu do mistrzostw świata w 2014 r. w Brazylii. Może i dobrze, że tak się stało, bo – moim zdaniem – lepsza nieobecność w wielkiej imprezie od kompromitującego w niej występu.

Zmienił się zarząd PZPN, prezesem został Zbigniew Boniek, funkcję trenera kadry objął Waldemar Fornalik. Wszyscy niemal zgodnie zapowiadali, że dołożą wszelkich starań, by podnieść poziom naszego rodzimego futbolu, że nasza reprezentacja zacznie skuteczniej grać, że należy skoncentrować się na szkoleniu w klubach, szczególnie jeżeli chodzi o młodzież, że sympatycy futbolu będą coraz bardziej zadowoleni. Były to piękne deklaracje, piękne słowa. Czy coś się zmieniło w ciągu roku od ich wypowiedzenia? Raczej niewiele. Mam na myśli głównie sprawy szkoleniowe. Nie znaczy to jednak, że zarząd PZPN z prezesem Zbigniewem Bońkiem i zarząd Ekstraklasy SA nic nie robiły.

Najpierw była gorąca dyskusja nad zwiększeniem liczby meczów. Po różnych targach ustalono, że zespoły ekstraklasy rozegrają 37 spotkań mistrzowskich – 30 w rundzie zasadniczej i jeszcze 7 dodatkowych. Pierwsza ósemka grać będzie o mistrzostwo, a druga o utrzymanie. Do tego dojdzie podział (o połowę) punktów zdobytych w rundzie zasadniczej. Bzdurne rozwiązanie, za którym optowały władze Ekstraklasy SA. Moim zdaniem nie wpłynie to na podniesienie poziomu rywalizacji. Wręcz odwrotnie – poszczególne kluby będą się musiały zmierzyć z wieloma kłopotami.

Następnym posunięciem była likwidacja rozgrywek tzw. Młodej Ekstraklasy – dokonała tego spółka ligowa (Ekstraklasa SA). Ma ją zastąpić Centralna Liga Juniorów, w której mogą grać wyłącznie zawodnicy poniżej 18 lat. Trochę starsi zawodnicy mogą grać w zespołach rezerw. Oznacza to, że takie rezerwy trafią w najlepszym razie do III ligi (czwarty poziom rozgrywek), a reszta do IV ligi (piąty poziom rozgrywek) lub jeszcze niżej. Kluby buntują się, ponieważ bardzo wielu zawodników ocierających się o kadrę pierwszych zespołów nie będzie mogło wykazać swoich umiejętności. Gra w IV lidze nie pozwala na podnoszenie futbolowych umiejętności.

Nie ma sensu też Centralna Liga Juniorów, w której występować będą tylko zespoły z klubów grających w ekstraklasie. Jak mają rozwiązywać sprawy szkoleniowe kluby z niższych klas (I ligi, II ligi, III ligi)? W nich też są obiecujący juniorzy, którzy w takim systemie nie będą mogli zaprezentować swoich umiejętności. Moim zdaniem obie decyzje nie mają nic wspólnego z podniesieniem poziomu szkolenia, szczególnie młodzieży, a co za tym idzie – podniesieniem poziomu naszego rodzimego futbolu.

Kilka dni temu doszło też do ostrej konfrontacji prezesa Zbigniewa Bońka z futbolowymi działaczami na zjeździe PZPN. Boniek chciał dokonać pewnych poprawek w statucie związku, które by umożliwiły jego lepsze i skuteczniejsze działanie. Niestety – jego propozycje zderzyły się... z betonem. Inaczej mówiąc – z osobami, które od lat zabawiają się w futbol, są związane z dawnymi układami, z ludźmi, którzy zaliczyli niechlubną kartę w minionych latach w aferze korupcyjnej. Ludzie ci nadal kręcą się wokół krajowego futbolu. Wszystkie propozycje prezesa zostały odrzucone. Nie poparły Zbigniewa Bońka nawet osoby, które optowały za nim podczas wyborów prezesa. Wystarczy przytoczyć niektóre słowa Bońka. Powiedział on między innymi, że na sali zjazdowej nie brakowało ludzi, którzy są zainteresowani przede wszystkim sobą i swoimi gierkami. Na przykład Edward Potok z Łodzi domagał się, aby drużyna ŁKS (wyczołafa się z I ligi w trakcie rozgrywek) grała w III lidze. Z kolei Kazimierz Greń (Podkarpacie) walczył o przywrócenie licencji dla Resovii Rzeszów. Kontrę prezesowi zadał także Roman Kosecki, wiceprezes ds. szkoleniowych. I jeszcze inne słowa prezesa: – Roman Kosecki ma mentalność polityka. A ja nie chcę, żeby we władzach PZPN ważne sprawy były rozgrywane w taki sposób. Niektórym działaczom chodzi tylko o pieniądze, zagrania pod publiczność. Ja nie chcę tak grać.

Z tego wynika, że w strukturach PZPN nadal mają dużo do powiedzenia osoby, które nie chcą żadnych zmian, że odpowiada im „stare”. Inaczej mówiąc, w mętnej wodzie dobrze się czują. A nasz rodzimy futbol dołuje.